Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VI WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1931 R. Nr 10

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: Ks. St. SKIERSKI
ADRES REDAKCJI:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4. Tel. 338-32.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20. Tel. 646-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. —*S*— Zgon ś. p. Ks. Profesora Karola Seriniego 153
2. *K. Kosiński.* Jan Kochanowski (d. c.) 155
3. *Romuald Balawelder.* Duch Północy . . . 160
4. —*S*— Wiadomości z Kościoła i o Kościele 166
5. Porządek nabożeństw. Ofiary. Ogłoszenie 168

ROK VI WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1931 R. Nr 10

ZGON Ś. P. KS. PROF. KAROLA SERINIEGO.

2 Samuela 3-38: „Azaż nie wiecie, że hetman, a bardzo wielki, poległ dziś w Izraelu?".

W dniu 21.X. b. r. o godzinie 11½ przed północą rozstał się z tym światem po długiej i ciężkiej chorobie ś. p. Ks. Karol Serini, Profesor Teologji Systematycznej na Wydziale Teologji Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Aczkolwiek długa i ciężka choroba kazała nam liczyć się z katastrofą, śmierć tego ogólnie kochanego i poważanego męża Bożego i serdecznego przyjaciela młodzieży pogrążyła w głębokim smutku serca nietylko jego najbliższej rodziny, kolegów i przyjaciół, ale ogromne rzesze jego uczniów i wogóle wszystkich, którzy w ten czy inny sposób z polskim ewangelicyzmem są związani i sprawami jego się interesują. Dla Wydziału Teologji ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego śmierć ta równoznaczną jest z klęską nie tylko dlatego, że zeszedł z tego świata jeden z najwybitniejszych profesorów Wydziału, mąż wielkiej wiedzy, głębokiej wiary i czystego szlachetnego serca, ale i dlatego, że strata ta wydaje się być absolutnie niezastąpioną, gdyż wątpliwem jest, aby mógł znaleźć się w najbliższym czasie godny następca zmarłego.

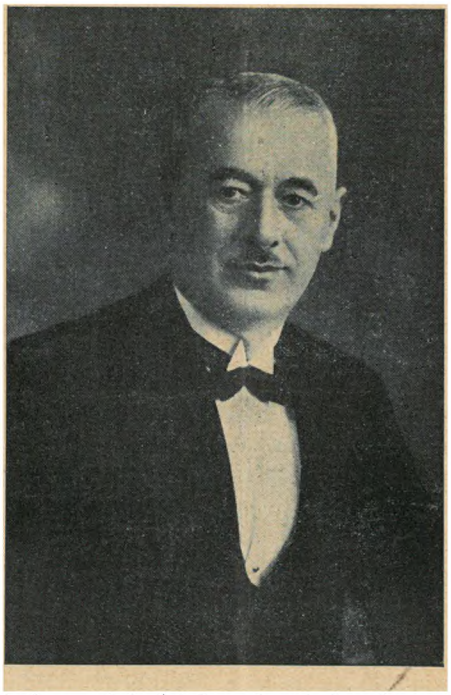

Żal z powodu śmierci ś. p. Ks. Profesora Seriniego staje się jeszcze głębszym, gdy zważymy, że opuścił on nas w tym okresie swego życia, kiedy jego zdolności i dary umysłu i ducha sięgać poczynały najwyższego swego rozwoju, i w tym wieku, kiedy człowiek taki jak on mógł, zda się, pracować jeszcze długo i twórczo na chwałę Bożą, dla dobra Kościoła i społeczności ludzkiej.

Śmierć naszego drogiego zmarłego okrywa ciężką żałobą cały polski ewangelicyzm, a dla naszego Kościoła ewang. - reformowanego jest stratą niepowetowaną, ile że ś. p. Ks. prof. Serini był naszym szczerym i oddanym przyjacielem, nasze smutki i radości obchodziły go żywo, przeżywał je wspólnie z nami, a nasza pomyślność i przyszłość były mu na równi drogie z własną przyszłością i pomyślnością Nie wielu mamy takich przyjaciół!

Cóż mamy powiedzieć o stracie, jaką ze śmiercią ś. p. Ks. prof. Seriniego ponosi nasza

„Jednota"? Był on od samego powstania naszego pisma jego najszczerszym przyjacielem, a od drugiego roku wydawnictwa jednym z najpoważniejszych jego współpracowników. Nietylko zasilał pismo nasze utworami swego pióra, które zawsze porywały i jednały czytelników zapałem wiary, wielką wiedzą i erudycją, głębią umysłu filozoficznego i ciepłem serca, ale troszczył się też serdecznie i o sam poziom pisma, pragnął je widzieć na wysokości zadania, jako pisma dla ewangelickiej inteligencji przeznaczonego. Żywo stoi mi w pamięci rozmowa, jaką ze zmarłym już w czasie jego choroby prowadziłem na temat dalszych jego prac w „Jednocie", której obiecywał mi poświęcić w przyszłości jeszcze więcej uwagi, jeszcze więcej współpracy. Niestety, śmierć nieubłagana przecięła zbyt wcześnie pasmo jego życia z wielką dla nas wszystkich stratą.

Ś. p. Ks. prof. Karol Serini urodził się w roku 1875 w Tomaszowie Rawskim, gimnazjum ukończył w Częstochowie ze złotym medalem w roku 1893 i w tym samym roku zapisał się na wydział teologiczny Uniwersytetu w Dorpacie. Studja uniwersyteckie ukończył w jesieni roku 1898 ze stopniem kandydata teologji, a w marcu roku 1899 ordynowany był w Kościele ewangelicko-augsburskim w Warszawie na duchownego tego wyznania, z przeznaczeniem go na wikarjusza parafji w Pabjanicach. Po paru latach przeszedł na takiż urząd do Łodzi do parafji Ś-tej Trójcy, a wkrótce potem objął samodzielną placówkę Pasterza parafji ewangelicko-augsburskiej w Stawiszynie pod Kaliszem. Po czteroletnim pobycie w Stawiszynie powołany został zmarły nasz na stanowisko duszpasterza parafji w Zgierzu pod Łodzią, gdzie pracował z całem zaparciem się przez lat piętnaście. W pracy swej duszpasterskiej kładł ś. p. Ks. Serini wielki nacisk na kierunek społeczny tej pracy i był może u nas w Polsce jednym z pierwszych organizatorów chrześcijańskich związków robotniczych i rzemieślniczych. W odrodzonej po wojnie światowej Polsce powstał przy Uniwersytecie w Warszawie samodzielny wydział teologji ewangelickiej. Na jednego z przyszłych profesorów tego wydziału upatrzony był ś. p. Ks. Serini, i to na katedrę najważniejszą, bo teologji systematycznej, a to dzięki temu, że już wówczas dał się on poznać jako człowiek wybitnie zdolny i duchowny, pracujący wytrwale przy wszystkich swoich obowiązkach duszpasterskich w kierunku pogłębienia swej wiedzy teologicznej. Wysłany na Uniwersytet w Bazylei zdobywa on tam sobie stopień naukowy i po powrocie do Warszawy obejmuje na wydziale teologji ewagelickiej przy Uniwersytecie Warszawskim katedrę teologji systematycznej, na razie jako zastępca profesora, a następnie profesor nadzwyczajny. Wielka i gruntowna wiedza i skrupulatna pracowitość wysuwają go na czoło grona profesorskiego i jednają mu szacunek i poważanie Senatu Akademickiego, miłość i powagę wśród słuchaczy jego wykładów uniwersyteckich, miłość i uznanie uczniów i kolegów. Uznanie świata wiedzy i nauki dla zmarłego naszego wyraziło się między innemi w powołaniu go na członka Senatu Akademickiego i przewodniczącego sekcji metafizycznej Towarzystwa Filozoficznego. Niezależnie od prac uniwesyteckich poświęcał ś. p. Ks. prof. Serini czas swój i pracy nauczycielskiej jako wykładowca logiki i psychologji w gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie. I na tem stanowisku cieszył się on wielką powagą wśród uczniów, którzy, odczuwając w nim prawdziwego i serdecznego przyjaciela młodzieży, darzyli go swą miłością i przywiązaniem. Takiemi samemi uczuciami darzyli go i koledzy-nauczyciele, którzy cenili w nim nie tylko głęboką wiedzę profesora i uczonego, ale i gorące serce patrjoty i szlachetność prawego człowieka.

Praca profesorska i wychowawcza nie dała zmarłemu możności poświęcenia wiele czasu na działalność piśmienniczo-naukową. Jego wykłady uniwersyteckie z dziedziny dogmatyki i etyki, zawsze starannie opracowywane, nie były, niestety, przez niego do druku przygotowane. Niemniej drukował zmarły, przeważnie w naszej „Jednocie", wiele prac pomniejszych, bardzo jednak cennych. Większą pracą zmarłego, wyszłą z druku nakładem autora, była jego „Filozofja religji Szkoły Badeńskiej". W rocznikach „Jednoty" drukowane były następujące jego prace: „Doznania religijne", „Mistyka", „Istota religji", „Religja a nauka", „Istota teologji", „Metafizyka", „Historja Masonerji", „Humanizm a chrześcijaństwo", dwa przemówienia: „Jezus-Synem Bożym" i „Podstawy ideowego życia młodzieży obecnej", i wreszcie dwie większe prace, niestety niedokończone, a mianowicie: „List do Filipjan" i „Przełom życia duchowego a teologja przełomu".

Odszedł od nas zawcześnie, pogrążając nas w żalu głębokim.Pamięć o nim nazawsze żywą i świętą pozostanie w sercach naszych! Wieczny pokój i radość zbawionych naszemu bratu i druhowi!

S.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI.

JAN KOCHANOWSKI.

(Dokończenie).

XII.

Obok Pieśni postawić należy Kochanowskiego Sobótkę. Prof. Brückner we wspomianym wstępie do swojego wydania pism poety nazywa ją „najbardziej oryginalnem, szczerze narodowem dziełem". Genezy poematu szukać należy w samej uroczystości sobótkowej, która uderzyła wyobraźnię poety i poruszyła strunę jego liryzmu. W rezultacie nie mamy tu właściwego opisu sobótki; część epiczna sprowadza się do 4-ch strofek wstępnych. Wogóle, poemat o Sobótce ma charakter swojski, co wynikało z samego założenia treści. Ten charakter swojski utworu spotęgował poeta przez sam rodzaj wiersza: 8-zgłoskowy, z podziałem na 4 wierszowe strofki, tak pospolite w poezji polskiej religijnej wieku XV-go. Do erotyku Kochanowskiego dodaje Sobótka nową nutę — kobiecości: przybywa tkliwość i naiwność uczuć wraz z urokiem tęsknoty kobiecej. (Panny IV, V, VII i VIII). Panna XI śpiewa o Dorocie, które to imię zjawia się tu nietylko dla rymu, jak twierdził Brückner. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu wiersz Kochanowskiego na cześć Doroty Podlodowskiej, której urodę opiewa w pierwszem stadjum swojej miłości. Zjawiają się tu w opisie barwy: brwi czarne, oczy czarne, usta koralowe, ręka biała, zęby perłowe.

Osobną grupę pieśni w Sobótce stanowią VI i XII, będące pochwałą wsi, przyczem naturalnie wysuwa się tu na miejsce pierwsze przyroda. Celuje tu poeta w mistrzowskim doborze metafor:

Gorące dni nastawają,
Suche role się padają;
Polny świerszcz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.

Albo też metafory inne: pasterze budzą lasy swojem graniem, żyto znać dawa, że zbliżają się żniwa i t. p. W swojem nastawieniu na obrzędy ludowe, wspomina tutaj poeta i wieniec kłosiany i obchód dożynkowy, co wszystko razem daje nam wierny obraz wsi i jej przyrody w lecie. Obraz ten pogłębia się w pieśni ostatniej — XII, zaczynającej się od słów:

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?

Mamy tu pochwałę życia ziemianina na wsi, w czem Kochanowski nie różni się bynajmniej od innych pisarzów-ziemian tego wieku z Mikołajem Rejem na czele. Mamy tu porównanie żywota ziemianina na wsi, z innemi stanami: żołnierza, dworzanina i palestranta. Przytem rzecz dziwna: przeciwstawiając im stan ziemiański, mówi o nich poeta z lekceważeniem, jakby zapomniał pieśni O dobrej sławie:

Inszy się ciągną przy dworze
Albo żeglują przez morze...
Najdziesz kto w płat język dawa,
A radę na funt przedawa;
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła na to odważają...

W żywocie ziemiańskim podkreśla Kochanowski jego niezależność i spokój, nie dostrzegając na jakiej niebezpiecznej drodze snobizmu życiowego stawał. Widać, że Kochanowski sam tego spokoju zażywał. W tem miejscu mamy szczegół, który potwierdzałby hypotezę, że powstała Sobótka w r. 1571. Mamy tu mianowicie ustęp:

Skoro też siew odprawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy.
Tam już pieśni rozmaite...

który nam przypomina zakończenie listu Kochanowskiego do Stanisława Fogelwedera z 6 października 1571 r. Tam czytamy: „Tak my są na wsi: kiedy już zasiejemy, komin wkoło obsiędziemy, a lada co i mówiemy i piszemy". Inni, na podstawie p. XI, do Doroty, opóźniają powstanie Sobótki o 4 lata (Windakiewicz).

Życie ziemianina na wsi przedstawia się w tej pieśni, jak w Żywocie człowieka poczciwego Reja — sielsko i anielsko. Pominąwszy powaby natury, śród których ten wybraniec losu przebywa stale (powtarza się tu strofka z Wezwania Hanny do Czarnolasu o faunach leśnych, skaczących przy fujarce pasterskiej), ma tutaj powab dom ze skrzętną gospodynią, która

O wieczerzej pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.
Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc, ryczy.
Ona i spuszczać pomoże
Męża wzmaga, jako może.
A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszej głowie,
Wykną przestawać na male,
Wstyd i cnotę chować w cale.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że obraz ten nie był bez wpływu Reja, tego malarza beztroskiego życia na wsi, w oczekiwaniu aż kapłon się dowarzy i potraweczki ine.

Powaby życia wiejskiego miały już dawniej urok dla naszego poety. Z lat jego przełomowych, przed osiedleniem się w Czarnolesie, pochodzi utwór, z treści poważny a z formy raczej żartobliwy, p. t. Carmen macaronicum de eligendo vitae genere, t. j. o wyborze stanu. Opowiada w nim autor, jak kiedyś, w czasie lata, wybrał

się był z Krakowa do Dąbia, rozmyślając nad dalszem swojem życiem:

Ecce autem mężos video adventare quaternos,
Dissimiles habituque oris et dispare barwa,

którzy mu zachwalali każdy swój stan. Byli to: zakonnik, ksiądz świecki, dworzanin i ziemianin. W przemowie księdza widać wpływ Orzechowskiego z pierwszej doby jego pisarskiej, jako autora pisma De lege coelibatus. Argumenty księdza na temat bezżeństwa nie trafiają do przekonania poecie i cały podaje się wywodom ziemianina, który zachwala niezależność życia na wsi z posiadaniem własnego kąta. „Swojus res optima kątus", jak mówi, a nadto:

Nulli flecto genu, sum wolnus, servio nulli,
Gaudeo libertate mea, pewnoque pokojo.

I podkreśla bezpieczeństwo żywota bez wielkich skarbów, ale i bez pragnień po temu, bez zysków dalekich, ale i bez lichwy, z siejbą i orką na własnym łanie. Występują tu również żona i dzieci, które dopełniają szczęścia. Obraz życia wiejskiego wzorowany na Reju, którego zasada brzmi tu wyraźnie: mihi denique vivo. Jak widzimy, ten ideał życia spokojnego na wsi, w swoim majątku, nie był tym, któryby prężył do lotu skrzydła poety. Jeżeli wszakże idzie o Kochanowskiego, są to pozory: nie dla spokoju tylko i filisterskiego dobra wracał na zagon ojczysty: pragnął spokoju ducha dla pracy twórczej i niezależnej. Kiedy zaś osiadł w Czarnolesie, gdy się ożenił, nie obarłożył się zbytnio domem, że użyjemy słów Mikołaja Reja. Widziały go elekcje, widziały go zjazdy, a potem za Batorego, trafił do niego Zamoyski, który jego rękę na samym pulsie życia narodu położył. I nie odgrodził się poeta filisterskiem szczęściem swojem od reszty świata, od reszty Polski, głos jego, przeciwnie, rozbrzmiał wtedy po całej Rzeczypospolitej.

Wracając do Sobótki, dodamy jeszcze, że całość wolna jest od filologji klasycznej. Prof. Brückner twierdzi (wstęp), że istniały trzy rodzaje pieśni sobótkowych: erotyczne, satyryczne i balladowe, o wątku tragicznym. I tak: satyryczną byłaby pieśń III (o ciągnieniu kota), a balladową pieśń IX, o słowiku, do której fabułę wziął poeta z metamorfoz Owidjusza, atoli bez wymienienia imion, postaci, w dostosowaniu do charakteru swojskiego poematu.

Sobótka jest arcydziełem prostoty w opisie przy bogactwie metafor i epitetów, jest ważnem posunięciem psychologicznem poety przy odtwarzaniu uczuć obcych z prawdą wyrazu. Nie chodziło tu Kochanowskiemu wyłącznie o pochwałę Doroty i życia na wsi, nie dla nich tylko poemat powstał. (Windakiewicz). Genezy utworu, raz jeszcze, szukać należy w samej uroczystości ludowej i Sobótka jest ważna, jako ta, która jest pierwszem odbiciem zwyczaju ludowego w poezji polskiej. Rzecz inna, że nie odtwarzał w nich poeta samych pieśni ludowych.

XIII.

Dziwnemby się wydać mogło, że przy całej swojej powadze i głębi, Kochanowski tak cenił drobne Fraszki. Zbierać anegdoty i żarty zaczął już we wczesnej młodości, co kontynuował przez całe życie. W rezultacie mamy trzy zbiory Kochanowskiego żartów: Apophtegmata (prozą), Foricenia (łac.) i Fraszki, które przesłoniły sobą dwa zbiory poprzednie. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Fraszki torowały poecie drogę do sławy u współczesnych. Wspomina o nich Górnicki w swoim Dworzaninie z r. 1566, mamy też w samych Fraszkach dowód, że je czytano i ceniono. O ich rękopis prosił poetę uczony doktór Royzjusz, na co ten odpowiedział Fraszką:

Fraszka, a doktór, to są dwie rzeczy przeciwne.

Fraszki budziły bezpośrednie zainteresowanie u współczesnych. Zrazu krążyły w odpisach, rozsyłał je również i sam poeta znajomym, czytały je nawet kobiety. Za przykładem Kochanowskiego poczęli je pisać inni, a przyjaciel, Mikołaj Firlej, syn Jana, kasztelana krakowskiego i Bonarówny, nakłaniał poetę do ogłoszenia ich drukiem, na co ten odpowiedział Fraszką:

Mało na tym, że moje Fraszki masz pisane,
Lecz je chcesz, Mikołaju, mieć i drukowane:
Ku czci czy hańbie mojej? cóż, nie wierzysz temu,
Żeś i sam w nich? ba, jesteś, już wierz słowu memu.
A tak rozmyśl sie na to: trefnoli to będzie,
Gdy we Fraszkach kasztelan drukowany siędzie.
Jać wytrwam, choć mię będą fraszkopisem wołać...
(Fr. III. 73).

W tej popularności Fraszek (jeszcze przed ogłoszeniem ich drukiem) tkwi przyczyna nieznana, a może jest nią to, że Fraszki były odzwierciedleniem życia współczesnego. Być może zresztą i to, że sama swawolność treści stanowiła ich urok dla współczesnych, w dobie rozkwitu Odrodzenia. Zdawałby się na to wskazywać i stosunek do nich samego poety. Na ten stosunek rzuca wyraźnie światło przedmowa Jana Januszowskiego z d. 12 grudnia 1585 r., do wydania pośmiertnego pism Kochanowskiego. Pisze tam Januszowski, że Kochanowski wydał „mniemaniem ludzkim i rzeczą samą Fraszki, w których niektóre są barzo potrzebne, a drugie podobno barzo bezpieczne. To prawda, nieboszczyk samże długo o tym myślił, jeśli że wszytki wydać miał albo nie. Bo do tego i to przystąpiło było, żem i ja sam, z którego drukarnie wyniść miały, z nim nietylko o to mówił, ale i nawet, kiedy sie już do druku podać miały, pisałem o to do niego, na co potym odpisał mi w te słowa: Wyrzucić co z Fraszek nie zda mi się, bo to jest jakoby dusza ich. Si quod pruriat, incitare possunt. A tak proszę, przepuść im teraz W. M. etc. — te są słowa jego. Oględował sie na to, że złość ludzka, każdemu złemu jest wrodzona, a dobremu i nagorsza rzecz nie zawadzi..." A zatem sam Kochanowski bronił Fraszek i nie zgodził się na okrojone ich wydanie, mimo, że w przytoczonej

Fraszce do Mikołaja Firleja zdawał sobie jasno sprawę z tego, że po ich ogłoszeniu mógł był za fraszkopisa tylko uchodzić. Tak więc Kochanowski doceniał wartość istotną Fraszek i od nich rozpoczął wydanie zbiorowe swoich pism, w r. 1584. Możemy tu w rezultacie postawić tezę: Kochanowski cenił Fraszki, jako odbicie bezpośrednie życia, jako dokument twórczy całego szeregu przeżyć i wspomnień, jako odbicie współczesności. Kochanowski we Fraszkach nie silił się, jak Rej w Zwierzyńcu na jednostajny w wyrazie obraz Polski, zdobył się atoli na obraz duszy sobie współczesnej, o głębokim podkładzie ogólnoludzkim pomimo żartu i śmiechu.

We Fraszkach Kochanowskiego odbiło się życie; i dlatego nie chciał Kochanowski nic z niego uronić przy ogłoszeniu ich drukiem. Życie zawiera w sobie wszelkie możliwości: zarówno dobro, jak zło, zarówno powagę, jak śmieszność, zarówno mądrość, jak głupotę, zarówno moralność, jak brak etyki, a niejednokrotnie pospolite świństwo, zarówno głęboką miłość, jak swawolę, słowem wszystko to, co w rezultacie stanowi życie ludzkie. Dlatego też Kochanowski, dając jego odbicie we Fraszkach, chciał, aby to było pełne i wierne, było pomieszaniem wszystkich możliwości ludzkich. W rezultacie tak pojęty obraz życia będzie poważny i smutny; takie też, a nie inne, w sumie odbieramy wrażenie z Fraszek Kochanowskiego. Raz jeszcze, przywiązywał do nich Kochanowski wielka wagę, gładził je przez szereg lat, zanim zdecydował się oddać do druku. Ślady jego roboty w tym względzie mamy w Fraszce 8-ej ks. II, gdzie mówi poeta:

Próżno mnie do dziewiąci lat swe fraszki chować,
Jako ksiąg madrzy ludzie zwykli poprawować:
Bo tu moja pilnością już nic nie przybędzie.
Bych kreślił i nadkreślał, fraszka fraszką będzie.

I jeszcze jedno: ponieważ szło tu o wierny obraz epoki, o ludzi i czasy, usunął Kochanowski świadomie z Fraszek czynnik chronologiczny, mieszając ludzi i zdarzenia tak, aby jego autobiografja nie dała się odtworzyć, co stwierdził wyraźnie sam we Fraszce 29 ks. III-ej:

Fraszki nieprzepłacone, wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszytki kładę tajemnice swoje,
Bądź łaskawie fortuna ze mną postępuje
Bądź inaczej, czego snać więcej się najduje.
Obrałliby się kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty,
Powiedzcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,
Bo się w dziwny Labirynt i błąd wda takowy,
Skąd żadna Ariadna, żadne kłębki tylne
Wywieść go móc nie będą, tak tam ścieżki mylne...

Fraszki zatem przedstawiają się w układzie chaotycznie, pomieszane ze sobą, poważne i smutne, obok erotyków i anegdot, w sąsiedztwie epitafjów. To pomieszanie ich jest świadome i celowe, każdej bowiem miejsce wyznaczył sam poeta (Brückner). Z drugiej strony przez taki właśnie układ stają wszystkie na jednej płaszczyźnie, i nie grupują się w czasie.

Co zatem zawierają Fraszki i jakby je można podzielić dziś? Treść ich bogata i barwna, liczba okazała, około 300, z których przeszło 50 jest przeróbką czy tłumaczeniem z Anakreonta i Marcjalisa, co pogłębia charakter ich renesansowy. Prof. Brückner (tamże) nazywa Fraszki „najpiękniejszym okazem dawnej poezji polskiej" — na co wpłynęła również forma, dostosowana do treści, lekka, żartobliwa i bujna. Fraszki „zmieniają się kolejno: miłosne, przyjacielskie, osobiste, aforyzmy, anegdoty, klepsydry, kalambury, bajki, wszeteczeństwa i cały świat sarmacki przechodzi przed nami buńczuczno, wesoło i smutno zadumany" (Brückner). Przewija się we Fraszkach Kochanowskiego szereg postaci i imion, odbija w nich wesołość epoki t. zw. dworskiej i powaga życia oraz smutek poety osobisty i refleksyjny, znajduje się tu również erotyk, poważny i żartobliwy, znajdują się wiersze o samym sobie do potomności, z różnych okresów życia aż do Czarnolasu włącznie. Pomimo zacierania przez poetę swojej autobiografji we Fraszkach, występuje tam ona niejednokrotnie.

Niezaprzeczoną jest wesołość Fraszek, cały ich dowcip i humor, które z nich biją dzisiaj jeszcze, po wiekach. Z drugiej atoli strony jest we Fraszkach znany już nam dobrze pesymizm refleksyjny poety. I tak, zaraz na wstępie, po Fraszce Do gościa, w której mówi, że ten, kupując Fraszki, kupuje tylko fraszki, i po stwierdzeniu ich charakteru beztroskiego i biesiadnego w wierszu Na swoje księgi (Fr. I. 2), bezpośrednio potem umieszcza ustęp o żywocie ludzkim (Fr. I. 3), w którym czytamy:

Fraszki to wszytko, cokolwiek myślimy,
Fraszki to wszytko, cokolwiek czynimy;
Niemasz na świecie żadnej pewnej rzeczy,
Próżno tu człowiek ma co mieć na pieczy.
Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława,
Wszytko to minie, jako polna trawa...

Albo też inna (III. 76) p. t. Człowiek boże igrzysko, gdzie przejawia się z całą siłą sceptycyzm poety:

Nie rzekł jako żyw żaden wietszej prawdy z wieka,
Jako kto nazwał bożym igrzyskiem człowieka.
Bo co kiedy tak mądrze człowiek począł sobie,
Żeby się Bóg nie musiał jego śmiać osobie?
On, Boga nie widziawszy, taką dumę w głowie
Uprządł sobie, że Bogu podobnym się zowie.
On, miłością samego siebie zaślepiony,
Rozumie, że dla niego świat jest postawiony.
On pierwej był, niźli był: on chocia nie będzie,
Przecie będzie; próżno to, błaznów pełno wszędzie...

Do tego refleksyjnego smutku poety przyłącza się i pesymizm śmierci, który odzywa się w licznych epitafjach.

„Śmierć za człowiekiem na wszelki czas chodzi;
Niech zdrowie, niech nas młodość nie uwodzi,
Bo ani wzwiemy, kiedy wsiadać każą,
A tam ani płacz, ani dary ważą... (Fr. I. 30).

W epitafjum Krzysztofowi Sienickiemu, młodo zmarłemu, postawi Kochanowski pytanie — „czy to gorzej, czy lepiej" — żyć czy umrzeć, co przy-

pomina monolog Hamleta: być albo nie być. W epitafjum Wojciechowi Kryskiemu, po którym dwór cały przywdział żałobę, powiada, że płacz i żałość potęguje świadomość ich bezsiły wobec śmierci. Śmierć w jednym tylko wypadku ma dla poety urok, t. j. na polu bitwy, za ojczyznę. (Na sokalskie mogiły). Pozatem jest ona we Fraszkach, jak i w Trenach, prawem, pełnem krzywdy, jest koniecznością, głuchą na jęki ludzkie. Możnaby tu przytoczyć wiele przykładów i cytat, ale nie powtarzajmy rzeczy znanych. Tak. Przewija się koło poety we Fraszkach życie barwną wstęgą uciechy, co nie zagłusza w nim smutku. W wierszach do siebie, do Jana, mamy szereg zadumań się głębokich nad życiem. W jednym z nich (Fr. I. 73) przywołuje poeta rozum, jako czynnik regulujący życie i każe mu tłumaczyć sobie, aby nie czynił tego, po czem w przyszłości wstyd mu będzie:

Radzę Janie, daj pokój przedsięwzięciu swemu,
Bo, bądź krótko, bądź długo, przecie przydzie k'temu,
Że sie człowiek obaczy, a co mu dziś miło,
To mu będzie za czasem wstyd w oczu mnożyło.
...A tak, co ma czas przynieść, uprzedź ty go raczej...

W innym wierszu do Jana, także erotycznym (Fr. II. 18) szuka w niepowodzeniu pociechy i każe być silnym, wierząc:

Nie jużci traci,
Cnota swe myto;
Ale sowito,
Bóg zwykł nagradzać
Temu, kto zdradzać
Nie zwykł nikogo.

Jeszcze w innym wierszu, do Jana (III. 20) pociesza poeta sam siebie po doznanym zawodzie i uderza w ton reflekcji życiowej:

Czyś ludzi nie znał? Czyś tak rozumiał, nieboże,
Że ciernie inszy owoc, niż tarnki dać może?

Mamy tu tego samego złego człowieka z Pieśni i Psalmów. Teraz wyrzuca sobie poeta:

Daremnąś pracę podjął, czyniąc dobrze złemu,
Bo sie on nie odejmie przyrodzeniu swemu.
A ty sam siebie winuj, bo, co cię dziś boli,
Stąd idzie, iżeś ludziom obłudnym był gwoli,
Dla których coś ty czynił, a ci też czem ci to
Płacili, niechaj wszytko światu będzie skryto...

Ostatecznie i tutaj wierzy, jak w Psalmach, że „Bóg pomści niecnoty i fałesznej zdrady".

Oprócz wspomnianych, mamy tu jeszcze fraszkę (30 ks. III), również do Jana, w której pociesza się poeta myślą:

Jeśli stąd jaką rozkosz ma człowiek cnotliwy,
Gdy wspomina na przeszły wiek swój świętobliwy,
Że ani wiary zgwałcił, ani jako żywo,
Ku krzywdzie ludzkiej przysiągł na Bóg żywy krzywo—

to powinien doznać radości, że ma pewność sumienia i przeświadczenie, że czynił wszystko

...co jeno kto komu abo mówić dobrze,
Abo i czynić może,

czego serce niewdzięczne przechować nie mogło. W rezultacie pozostaje tylko: siła rozumu i woli, które mają nakazać spokój człowiekowi. Ale poeta wie, że w irracjonaliźmie bólu o dwa te czynniki spokoju jest właśnie najtrudniej — i ostatecznie modli się o wejrzenie Boga na jego smutek i o zdrowie duszy. A zatem i w tym wypadku siła racjonalna rozumu — nie pomogła poecie.

Powiedzmy na zakończenie: z poza całej urody życia, zawartej we Fraszkach, z poza dowcipu i żartu, anegdot dworskich i opowiadań, z poza miłości z szeregiem imion kobiecych, jak Kachny, Jadwigi, Nety, Reiny i bezimienne Panie, w których zdajemy się poznawać i kurtyzany włoskie, wygląda zadumana twarz poety z wyrazem smutku i refleksji na temat siebie, ludzi i życia. Poważną zwłaszcza grupę Fraszek stanowią te, które powstały w Czarnolesie, czyto będzie Modlitwa o deszcz (Fr. III. 72), czy autobiograficzna Do gór i lasów (Fr. III. 1), czy też na lipę czarnoleską (Fr. III. 6, 7) czy wreszcie na Dom w Czarnolesie i inne. Nie ulega wątpliwości, że Fraszki mówią najwięcej o samym poecie, dają nam jego obraz, stanowią też urok nieprzeparty i dla dzisiejszego czytelnika.

W wydaniu z r. 1584 dzielą się Fraszki na 3 księgi.

XIV.

Taki byłby zrąb główny twórczości Kochanowskiego. Był Kochanowski humanistą, co wyrażało się nietylko w postaci wpływów na jego twórczość, ale w samych jego rodzajach literackich i w całym zakresie wyobrażeń. W Padwie zapoznał się z pismami Cycerona; razem z Nideckim pracował nad rekonstrukcją jego tekstów. W Elegjach padewskich mamy widoczną zależność poety od Tibulla, Owidjusza i Propercjusza. W Pieśniach mamy parafrazy Horacjańskie, a nawet całe przekłady, w Odprawie wpływy Eurypidesa, Seneki i innych, w Trenach Owidjusza, we Fraszkach Marcialisa, Anakreonta i t. p. Wpływy klasyczne w poezji Kochanowskiego rozumieją się same przez się na tle ówczesnej epoki literackiej, zostały też w dostatecznej mierze zbadane i pogłębione przez krytyków i komentatorów poety. Mimo to myliłby się ten, ktoby na podstawie wpływów i zależności od świata starożytnego odmówił Kochanowskiemu wartości oryginalnego poety. Prawda, niejednokrotnie podświadomie operuje on wyobrażeniami klasycznemi, które cisną mu się same przez sie i niema właściwie utworu, któryby od nich był wolny, sam Kochanowski jednakże w tym starożytnym świecie się nie zatracał, ale, przeciwnie, pogłębiał się jako człowiek i pisarz, który był humanistą, ale pozatem był wielkim poeta.

Tak. Kochanowski był wielkim poetą. Na wielkość autora składają się zarówno dane immanentne jego twórczości, jak i czynniki estetyczno-formalne. Kochanowski w przeciągu wieków pozostał dla nas życiowym i aktualnym, jako ten,

który sięgnął do idej ogólnoludzkich i polskich, i jako ten, który zamknął w sobie życie ówczesne. Do Kochanowskiego można podejść dziś zarówno z bólem duszy, jak z radością i oddźwięknąć mu całym sobą; można w nim znaleźć ukojenie, albo odzyskać zgubiony spokój ducha. Kochanowskiego czytamy dziś, jak go czytali współcześni, jak go czytały pokolenia późniejsze; stanowi on wartość niespożytą i w głównym zrębie swojej twórczości nie osłabiony jest przez wieki. Jako artysta, pod względem techniki twórczej, pod względem stylu i języka, pozostał wzorem niedoścignionym. Użycie epitetów, jego metafory, umiejętny dobór wyrazów, niezwykła ich ekonomja, właściwe znaczenie słów, strona rytmiczna wiersza, siła ekspresywna stylu czynią go dotychczas wielkim poetą.

Wielkość swoją czuł sam Kochanowski i dał jej wyraz dla potomności.

Kiedy Myszkowski po złożeniu pieczęci mniejszej w r. 1566, wyjechał na koadjutorstwo płockie, zabezpieczywszy uprzednio los poety przez wymienione probostwa, kiedy Kochanowski uczuł się zabezpieczonym materjalnie i mógł się oddać twórczości, wezbrała w nim fala poezji, podniosło się w nim poczucie poety i duma w przeświadczeniu o wiekopomnej swojej sławie. Wtedy powstały jego Muzy, stanowiące najdumniejszą kartę poezji polskiej do Mickiewicza. Wiara poety w swoją sławę pośmiertną przejawia się tu z siłą żywiołową, wyraża tu Kochanowski swoje credo poetyckie i przypomina Odę do młodości przeciwstawieniem wartości ducha martwocie bezdusznej świata. We wstępie uderza w ton ironji i satyrycznego sarkazmu, gdy przeciwstawia siebie zmaterjalizowanemu społeczeństwu:

Sobie śpiewam a Muzom; bo kto jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?
Kto nie woli tymczasem zysku mieć na pieczy,

co zaznaczał już w swojej poezji i nad czem bolał, że przypomnimy Satyra i pieśń O dobrej sławie.

Kochanowski w Muzach stwierdza swe osamotnienie śród społeczeństwa polskiego w wieku XVI-ym, które mogło być dumne z posiadania wielkiego poety. Tymczasem przeciwstawiał mu swoją dumę, graniczącą z pogardą i wyrażał przekonanie:

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty;
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony,

co podtrzymuje w nim siłę i co jest źródłem jego dumy, że wartości duchowe postawił wyżej nad inne względy i potrzeby życia:

Ja jeden niech wam służę, a za cześć poczytam
Sobie, że się dróg inszych, niż pospólstwo, chwytam.
...Za wami idąc, ani o bogate złoto
Ani o perły drogiej ceny dbam...

i modli się:

abym i w tej śmiertelności
I potem był u ludzi w powieści uczciwej,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwej.

Wartość poezji podkreśla się tutaj i przez to, że ona przekazuje potomnym wielkie imiona i czyny, myśl, którą Mickiewicz wyraził w pieśni Wajdeloty. W zakończeniu wiersza wyraża Kochanowski pragnienie, aby mógł służyć poezji do końca życia:

Kiedy ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,
Ogniu rówien prędkiemu, przeniknę obłoki.

Dalej. Exegi monumentum Kochanowskiego stanowi pieśń XXIV ks. II, która, choć wzorowana na Horacym, wyraża pełnię przeświadczenia poety o swojej nieśmiertelnej sławie. Przytoczymy ją w całości, aby w ten sposób sam Kochanowski pracę naszą zakończył:

Niezwykłym i nielada piórem opatrzony
Polecę precz, poeta, ze dwojej złożony
Natury: ani ja już przebywać na ziemi
Więcej będę; a więtszy nad zazdrość, ludnemi
Miasty wzgardzę; on w równem szczęściu urodzony
On ja jako mię zowiesz, wielce ulubiony
Mój Myszkowski, nie umrę, ani mię czarnemi
Styks niewesoła zamknie odnogami swemi.
Już mi skóra chropawa padnie na goleni.
Już mi w ptaka białego wierzch się głowy mieni;
Po palcach wszędy nowe piórka się puszczają,
A z ramion sążeniste skrzydła wyrastają.
Terazże nad Ikara prędszy przeważnego,
Puste brzegi nawiedzę Bosfora hucznego
I Syrty Cyrynejskie, muzom poświęcony
Ptak i pola zabiegłe za zimne triony.
O mnie Moskwa i będą wiedzieć Tatarowie
I, różnego mieszkańcy świata, Anglikowie;
Mnie Niemiec i waleczny Hiszpan mnie poznają,
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają.
Niech przy próżnym pogrzebie żadne narzekanie,
Żaden lament nie będzie ani uskarżanie:
Świec i dzwonów zaniechaj i mar drogo słanych,
I głosem żałobliwym żołtarzów śpiewanych.

— — — — — — — — — — —

Tak. Kochanowski daje sobą pełny obraz człowieka i wielkiego poety. Jako człowiek, przemówił swoim pesymizmem refleksyjnym i pustką śmierci, którą wypełnił Bogiem. Wypowiedział swój ból patrjotyczny, a potem dumę na widok zwycięstw; życie ujął wszechstronnie: i jako żart, i jako śmiech, i jako łzy i jako cierń, który ono w serce wbija. W poezji stał się wszechstronnym, aczkolwiek pozostał lirykiem do końca i nie było przesady, gdy w przytoczonej pieśni wzbijał się orłem ponad świat i ludy, którym imię jego nie było obce.

A jednak... Kochanowskiego sprofanowano. Głowa jego tuła się podobno w jednem z muzeów krakowskich, a ciało usunięto z podziemi kościoła w Zwoleniu i gdzieś zatracono.

Minęło lat czterysta. W czerwcu ubiegłego roku odbył się wiekopomny zjazd Kochanowskiego w Krakowie, urządzony staraniem Akademji Umiejętności, na którym z poza oddali wieków, z poza grobu przejawił się poeta w całej swojej pełni życia i nieśmiertelności. Spraw-

dziły się jego słowa, bo udział uczonych zagranicznych w zjeździe stwierdził, że stał się on dziś własnością nauki nietylko polskiej.

Kiedy potem, po niezapomnianych czerwcowych dniach krakowskich z drżeniem serca i podniosłością uczuć stanąłem był w kaplicy Kochanowskiego w Zwoleniu, owiało mnie od niej pustką i zaniedbaniem, bez cienia kultu, bez jednego wieńca w roku jubileuszowym poety. Natenczas miało się wrażenie, że poeta istotnie, ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki, ogniu rówien prędkiemu, przeniknął obłoki — i potwierdzała się prawda, że człowiek nie istnieje dla cielesnego celu. Od owych przykrych wrażeń, jakich doznaje się w Zwoleniu, odbija Czarnolas. Zbliża się człowiek do jego wrót z uczuciem pobożnej pielgrzymki i doznaje wrażeń niezapomnianych. Nie znajduje tam wprawdzie licznych pamiątek, ale znajduje pietyzm, z jakim widzi się utrzymane miejsca, związane z poetą. Najcenniejszą wszakże pamiątkę stanowi tu sama przyroda. Nie znajdujemy dziś w Czarnolesie domu poety, nie wiemy, czy pamięta go które z drzew, nie wiemy, czy pewne jest pokazywane miejsce jego opiewanej lipy i miejsce dworu, gdzie mieszkał, ale tak samo szumią lipy czarnoleskie dziś, jak przed wiekami za czasów Kochanowskiego.

ROMUALD BALAWELDER.

DUSZA PÓŁNOCY.

(Z podróży „Polonią" do Danji, na fjordy Norwegji i Nordkap).

Pożegnanie Gdyni. — Lista pasażerów. — Pierwsze wrażenie. — Kopenhaga. — O Danji i Duńczykach).

Uśmiecha się radośnie najmłodsze dzieło Polski — Gdynia. Nazjeżdżało się gości mnóstwo. Hotele przepełnione, ruch, gwar. Wiele osób poraz pierwszy nad polskiem morzem. Podziwiają ruch wielkomiejski, nowoczesne, monumentalne gmachy użyteczności publicznej, zaglądają do sklepów à la Marszałkowska, rozkoszują się przechadzką ku Kamiennej Górze.

Ale nadewszystko podziw wzbudzają urządzenia portowe. Potężne dźwigary żelazne, co niby ręce herkulesowe robotnika-olbrzyma przenoszą ciężary — wagony całe — z lądu na statki, otchłanne magazyny, budynki fabryczne, te szeregi długie, lekko ruchliwe statków handlowych, pasażerskich, wojennych. Jak wojsko, stale gotowe do wymarszu na daleki świat.

Uśmiecha się radośnie a dumnie najmłodsze dziecko Polski — chluba Polski.

Nie bez racji.

Ocenią to najlepiej ci, co od lat kilku Gdyni nie oglądali. Rozrosła się, spotężniała. W zawrotnem tempie, wystartowawszy do wyścigu pracy, dąży do wytkniętego celu. Do celu, gdzie na wysokim maszcie widnieje napis: „Polska jest mocarstwem. Musi mieć wyjście otwarte na świat. Nieść musi w najdalsze zakątki kuli ziemskiej dzieło pracy mięśni swoich i ducha swojego".

Młodociana Gdynia nie da się prześcignąć. Ma siły. Niechaj tetryk stary, sąsiad Gdańsk zrzędzi, wymyśla, niech kłody rzuca pod nogi. Sam potknąć się jeno może. Niechaj kryzysy trapią inne miasta, ubezwładniają porty o wiekowej tradycji. Gdynia się nie ulęknie. Pędzi naprzód. Zostawiła już za sobą Tallin, Rygę, Królewiec, Lubekę, Kłajpedę, Libawę. Pięciu innych zawodników bałtyckich niezawodnie w krótkim czasie pokona. Taka jest wola Odrodzonej Polski.

***

Jutro poraz pierwszy od chwili urodzin Gdyni wyjdzie z jej portu statek pasażerski ku morzom polarnym. Potężna, 15.000 tonowa „Polonia" zapuści się między skaliste wyspy i fjordy Norwegji, by zdobyć najdalej na północ Europy wysunięty przylądek Nordkap. Czy dopłynie?

Uczestnicy wycieczki zadają sobie to pytanie, patrząc na wody ponure Bałtyku. Od szeregu dni wichry, deszcze, mgły. Blado migocą światła latarń morskich Rozewia i Helu. Przy nieodpowiednim stanie pogody może nie zechce kapitan okrętu wprowadzać ciężki kadłub starego statku między wązkie, stalistemi rafami najeżone cieśniny Norwegji?

Lądowe szczury polskie trapią się, patrząc na lekko sfalowane, tajemniczą mgłą przysłonięte wody Bałtyku. Głęboki oddech morza daje przedsmak obcowania z najpotężniejszym żywiołem ziemi.

***

Jest godz. 10 rano dn. 18 lipca. Wszystkie taksówki zajęte. Zwożą gości przed wielkie składy sp. akc. „Pantarei". Obok czeka „Polonia", odgrodzona obecnie dokładnie przed natarczywością publiczności.

Rewizja dokumentów i biletów. Ludzie robią oczywiście bałagan. Bezładną masą oblegają budki rewidujących.

Polecam bagaż opiece służby okrętowej i uciekam. Jeszcze 2 godziny czasu. Z poza kordonu obserwuję wchodzących na statek. Z tymi ludźmi mam spędzić przecież z górą 2 tygodnie.

Ręce jak skrzydła wiatraka w ruchu, muzyka ust niby trzask samochodu z zanieczyszczonym karburatorem, cera szarej renety i oczy, płonące pięknym ogniem zapału. — Ciało pedagogiczne?

Ich dwoje. On puszcza ją delikatnie naprzód.

— Ty idź przodem. Nie bój się.

Pomost, po którym idą, lekko się chwieje.

— Czemu ty nie masz iść pierwszy, Izydor? Ja wolę z tyłu.

Targ. On poszedł przodem, zdenerwowany.

— Ja pójdę, dobrze. Poczekaj, Sabina!.... ?

Podobnych gości wspina się na kadłub „Polonii" dużo, ej, dużo.

Troje roześmianych dzieciaków.

Staruszka powyżej lat 60. Ubrana skromnie, twarz łagodna. delikatna. Czuje się niepewnie, jakby wstyd brał, że ona, słabiutka, granitom Skandynawii oko w oko spojrzeć chce.

Nonszalancja, elegancja; wzrok, co nad poziomy wylata, kryje trochę zblazowania.

Student?

Dumna poczciwość, zarozumiałość rozkrochmalona, ekwipunek doskonały. Lekarz, adwokat czy inżynier?

Kto zgadnie? Zato wiem, do kogo należy ta suknia czarna, po kostki długa, buzia okrągła, rozradowana. I wy zgadniecie, gdy dodam, że idzie o rodzaj męski.

Tych coraz gęściej, coraz więcej.

I wiem, że ta duma i zarozumiałość nierozkrochmalona — to dygnitarz państwowy.

Wybaczcie, że nad sprawą błahą napozór tak długo się rozwodzę. Ale ludzie w czasie podróży — nawet na morza polarne — też coś znaczą. Są w chwilach uniesień, zapatrzeń, zadumy — czemś w rodzajs koła młyńskiego, uwieszonego na szyji.

Ale, gdy serce zmęczone, a mózg przytępiony — jakże miłą rozrywką i wypoczynkiem być może dobrane towarzystwo!

W każdym razie współpasażerów wyeliminować na statku nie zdołasz. Gdy wzrok odwrócisz, uchem do świadomości ci się pchają, czasem i dotykiem. No, a w dusznej kajucie nos też wyczuwa zbiorowość życia na statku.

Wszedłem i ja na deski pokładu. Są czyste świeżo wymyte. Burta [1]) świeżo pomalowana. Nic też dziwnego, że raz poraz słychać okrzyki grozy:

— Do djabła! Całe palto zasmarowane! —

Ludzie boją się siadać, prześlizgują się delikatnie między ściankami odnowionego statku. Ruchy stają się opanowane, eleganckie, wytworne. Ten i ów na skromnym pachołku [2]) szuka chwilowego wypoczynku.

Załoga okrętu zdaje egzamin cierpliwości.

— Niech mnie pan wypuści. Zapomiałam z mamą się pożegnać.

— Gdzie moje waliski? Wszyscy mają już oddawna bagaż w kajutach. Proszę mnie wypuścić!

— Niestety, nie mogę.

— Cóż to? Więzienie?

GDYNIA. SKŁADY SP. AKC. „PANTAREI" I PRZYSTAŃ LINJI „GDYNIA-AMERYKA".

— Też porządki! Nigdzie na świecie niema czegoś podobnego!

Mylili się zdenerwowani podróżni. Wszędzie na świecie są niedokładności i pewne niewygody. Wymyślali niesprawiedliwie. Wkrótce mieli się przekonać, że organizacja obsługi okrętowej była arcydziełem swego rodzaju. Arcydziełem cierpliwości, dobroci, taktu, ba — wyda się to paradoksem — subtelności. Jeśli kadłub „Polonii" miał się stać dla nas miłem mieszkaniem, nieomal rodzinnem mieszkaniem, to wyłącznie zasługa załogi, a nadewszystko kapitana okrętu, który sercem i duszą, ojcem i matką stał się dla nas wszystkich.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Początek zgoła inaczej się zapowiadał. Epopeja wyprawy na fjordy rozpoczęła się walką o leżaki. Wykupiłem kupon, otrzymałem gwarancję, że w pozycji leżącej będę oglądał cuda przyrody. Aż tu pan starszy „steward" staje okoniem.

— Niema leżaków. Będą w Kopenhadze.

Napróżno, ścigam go po całym pokładzie. Ani słuchać raczy.

Idę z smutkiem w duszy do intendenta, który mi kupon sprzedał.

— Leżak musi być, — głos miły i stanowczy odrazu nastroił mnie dodatnio do gospodarza naszego statku.

Idę na poszukiwania mojego stewarda. Jest! Cicho! Tajemnicza rozmowa z pękatym burżujem. Po chwili steward przynosi mu 2 leżaki.

— Aha! — chwytam grzesznika. — To tak postępuje się z pasażerami? Nic bez napiwków.

[1]) Poręcz, biegnąca dokoła pokładów statku.

[2]) Pachołek (inaczej knecht) żelazny pal na pokładzie do uwiązywania lin w czasie przybijania statku do brzegu.

Proszę natychmiast o leżak! — Inaczej skarga, usunięcie...

Grupa pokrzywdzonych, skromnych ludzi wyszła jak z podziemi.

— I my także nie dostaliśmy leżaków! Co to ma znaczyć?

Steward zniknął w luce[1]) wchodowej. Po chwili wygodne mebelki — jedne za drugimi stawały szeregiem na pokładzie do dyspozycji grupy pokrzywdzonych.

Sprawa leżaków jest rzeczą ważną w czasie dłuższej podróży morskiej. Była przedmiotem codziennych walk, tragedyj i komedyj. Znaleźli się arcy-mistrze, co, nie wykupiwszy kuponów, stale mieli do dyspozycji leżaki w różnych punktach statku. Jak się to działo? Wystarczyło wyjąć delikatnie bilet wizytowy właściciela, umieścić swoją karteczkę — i z miną niewiniątka położyć się na cudzej własności. Chwyciłem raz młodą niewiastę na gorącym uczynku.

— Przepraszam. — Jakiem prawem?

Niewiasta zarumieniła się.

— Bo mnie też ktoś zamienił. —

Hm... Wiąc niech pani leży. Ja postoję. —

Poleżała chwilę. Ale gryzło ją coś — zapewne sumienie, — bo leżała niespokojnie i wkrótce opuściła źle zdobyte miejsce. Odtąd unikała mojej osoby starannie.

Niektórzy chronili się przed „ściąganiem" leżaków wypisywaniem jakichś znaków na ramach, a gdy to nie pomogło, wycinali hieroglify scyzorykami. W ten sposób przy końcu podróży dużo leżaków zostało potatuowanych.

***

Minęła godz. 12 w poł. — czas odjazdu „Polonii". Stoimy w miejscu. Jest godz. 12.30. Statek nie rusza.

Zato mnie rusza ktoś za ramię.

— Jak się macie? Skąd wy tutaj?

Stary znajomy, lekarz ze Lwowa. Sybaryta, stały bywalec Musiałowicza i Nowaka[2]).

— Ja, wiadomo, zawodowy włóczęga. Ale skąd wy?

— Ja? — uśmiechnął się doktór. — Żarcie, mówię wam, pierwsza klasa. I codzień dancingi.—

— A którą klasą jedziecie?

— Najtańszą. Za 500 zł. Jedzenie dla wszystkich klas tosamo. I wstęp wszędzie dla wszystkich.

Tylko kajuta gorsza. Ale kto siedzi w kajucie?

Ruszyliśmy na poszukiwanie innych znajomych. Naraz zadrżałem z przerażenia. — Pani Natalja. Zawodowa pesymistka i malkontentka. Zobaczyła mnie. Serdeczny uśmiech okrasił usta.

— Witam. Jak się cieszę! Widział pan to?

P. Natalja wtyka mi jakąś broszurkę do ręki.

[1]) Luka wchodowa — otwór w pokładzie dla wyjścia lub zejścia.

[2]) Znane restauracje we Lwowie.

Lista pasażerów! Kopalnia wiadomości o Polończykach. — Umieściliśmy się na budce nad luką towarową i oddaliśmy się statystycznym obliczeniom.

65 pasażerów ze Lwowa! Rekord w stosunku do wielkości miasta! 118 Warszawianek i Warszawiaków. Kraków dał 41 osób. Poważny, a stateczny Poznań tylko 10 sztuk! A co rzec o Łodzi bogatej a ludnej: 17 i to przeważnie „przy mężu".

— Niech pan zobaczy: 200-tysięczne Wilno 3 osoby. Wstyd! Zaścianek!

— Ubóstwo, albo zła reklama — tłumaczę Wilnian. — Przecież nie wstręt do morza... — Jedźmy dalej.

Mniejsze miasta przeważnie z Małopolski. Najdalej od morza, najchętniej doń się garną.

Z Pomorza zato ledwo kilku. Z samej Gdyni dwuch. Wszystkich pasażerów ok. 450.

Układamy statystykę podług zawodów.

— Najwięcej lekarzy. 53! Ci to siedzą na pieniądzach! I mówią o złych czasach! —

— Nie uważam, ażeby podróżowanie „Polonią" było oznaką zamożności. Najlepszy dowód, że na drugiem miejscu widzę nauczycielstwo: 47.

— Ma pan rację. I ja nie grzeszę nadmiarem pieniędzy, a przecież jadę. Tylko, że cały rok będę spłacała zaliczkę...

— Dobrze, dobrze. Ci wszyscy urzędnicy jadą napewno za pożyczone pieniądze. A jest ich 42! Przyczepiła następnie p. Natalja łatkę inżynierom, że ich jest aż 30-tu, księżom za liczbę 26, adwokatom (22). Wedle jej opinji wynikałoby, że najubożsi w Polsce są handlowcy, właściciele fabryk, wielcy obszarnicy i t. p.—bo tych na pokładzie naszego statku prawie wcale nie było. Paru kupców i jeden „hrabia" — ot i przedstawiciele naszej finansjery i arystokracji. Aha! Jest i marszałek Senatu i paru dygnitarzy ministerjalnych. No, ale ci legalnie jadą „na gapę" — i to I klasą.

— My za nich płacimy — syknęła z przekąsem p. Natalja...

— Jest pani mizantropką. Nie lubi pani ludzi!

— Muszę przyznać, że tak. Nie lubię. Nienawidzę. Świat mnie skrzywdził.

— Ale ja ludzi lubię, choć mnie niemniej skrzywdzili. A na wycieczkę pojechałem, ażeby się cieszyć. — Z trudem opanowywałem niechęć! Ta narzekająca Polska, Polska, która nie umie się cieszyć, wiecznie zmartwiona, przybita, rozpamiętywująca najczarniejsze chwile — ta Polska podrzuca mi i tutaj zgorzkniałą duszę.

Drgnęliśmy oboje. Syrena dała przeraźliwy znak. Przeprosiłem swoją towarzyszkę i kroki skierowałem do tłumu pasażerów, żegnającego się z tymi, co tam zostali na ladzie. Widać, że ważne rzeczy się działy, bo już kilkadziesiąt aparatów fotograficznych wycelowanych w kierunku „Pantarei". A tam tłum Gdynian dość po-

każny się zebrał, aby przypatrzeć się odjazdowi „Polonii". Orkiestra wojennej marynarki, ustawiona w czworobok na środku placu, przygrywała na pożegnanie.

A więc podróż się zaczyna! Godz. 1. Statek nie rusza. Spostrzegam znajomego redaktora prowincjonalnego czasopisma. Studjuje też listę pasażerów.

— Nie wie pan, czemu nie ruszamy?

— Czekamy podobno na 2 spóźnionych pasażerów.

No, no gentlemeński kapitan okrętu... Chcę odejść... Redaktor zatrzymuje mnie.

— Nie zauważył pan, że na liście niema ani jednego literata? A przecież fjordy — cuda.

Myślałem, że połowa pasażerów — to będą literaci.

— Literaci? Nie wiele mieliby tutaj do roboty. Jakże blagować, kiedy 600 par oczu patrzy na tosamo? Jak intrygować, romansować, bufonować, gdy ani ławeczki odosobnionej? Tu trzeba być skromnym i pobożnym jak w najsurowszym klasztorze.

Mogę was przy tej okazji zapewnić, literaci, że nic, literalnie nic nie straciliście. Nie było tematów do kabaretu czy dla romansów kryminalnych. Nie ujrzałeś ani jednej kobiety niezwykłej urody. Mężatka ani panna nie otruła się z zazdrości, miłości, namiętności. Nikt nie skoczył w bohaterskim porywie ze szczytu masztu do wzburzonych wód morskich. Nie było rabunku, morderstwa, szaleństwa. Rekin nie połknął ani jednego człowieka. Nie widziano nawet wieloryba, a fok nie więcej ujrzano aniżeli w pierwszym lepszym zwierzyńcu. Jedyna sensacja w waszym stylu poruszyła statkiem, gdy w czasie nocnej zabawy uderzył mąż w twarz niefortunnego adoratora swojej nieponętnej połowicy. Pozatem nic, nic. Operator filmowy, który nakręcał film na statku, stworzył dzieło, w czasie wyświetlania którego ludzie serdecznie ziewali.

***

Trzeci i ostatni ryk syreny. Liny odczepiono. 2 usłużne holowniki podpłynęły i, chwyciwszy kadłub „Polonii", ostrożnie odprowadzały go od mola. Pasażerowie cicho, spokojnie żegnali brzeg ojczysty, bez łezki wzruszenia. Usunąłem się w najdalszy kąt okrętu. Stojąc na rufie, miałem najlepsze pole do obserwacyj. Oddalaliśmy się zwolna od Gdyni. Dziwnie przedstawia się ona. Miasto jakby doczepione do ogromnego portu, daleko idzie w rozwoju za nim. Te olbrzymie dźwigi portalowe, te nowoczesne urządzenia przeładunkowe do węgla czy żelaza mogłyby godnie obsługiwać Hamburg lub Londyn. Gdynia — to małe jeszcze miasteczko, — stać się musi w niedługim czasie miastem miljonowem, jeśli z swojego portu chce korzystać należycie. Musi śmiało rozkopać sąsiednie wzgórza Kaszubskiej Szwajcarji, jak śmiało rzuciła w morze doskonały port sztuczny.

Życie w porcie wre. Szereg okrętów z różnych stron czeka na wyładunek. Gromada holowników uwija się wszędzie. Mocne te, choć małe statki noszą mocne nazwy „Ursus", „Tur" i in. Tam odpoczywa srogi kontrtorpedowiec „Wicher", ówdzie kilka torpedowców. „Bałtyk", obdarty z masztów stoi w kącie, służąc marynarzom jako hotel i koszary. Wszędzie życie wre, zwozi się, buduje, użytkuje.

Z awanportu wypływamy poza łamacze fal. Holowniki już niepotrzebne. Odrzuciły liny, zawracają do portu. „Polonia" czyni obrót 180°, zwraca się na północ. Wiezie nas do Kopenhagi...

Pasażerowie zadomowiają się na statku. Szukają najlepszych miejsc, a znalazłszy, znoszą tam lornetki, aparty fotograficzne, przewodniki, mapy, kompasy, termometry, ba nawet aneroidy. Tu i ówdzie widać całe atlasy szkolne. Jednem słowem, wyprawa naukowa. Pasażerki mają inne zajęcie. Bez termometru odczuwają chłód dotkliwy. Raz po raz więc znikają w kajutach i wychodzą coraz to w innych strojach.

Po pewnym czasie nastąpiła chwilowa aklimatyzacja. Ruch na pokładzie się zmniejszył.

Rozłożyłem się i ja wygodnie na dziobie statku. Szum jednostajny, cisza, szarość mgieł usposabiały do wypoczynku, choć głód dokuczał. Po chwili p. Natalja znalazła mnie i cicho, delikatnie ulokowała się obok. Była potulna, jakby zawstydzona. Dla dodania sobie ważności rzekła:

— Kobiet jest znacznie mniej na statku.

— Już pani wyliczyła?

— Tak. 168. Najwięcej nauczycielek i urzędniczek. Jest i 11 lekarek i 2 inżynierki.

— To pięknie. Elita niewieścia.

— Mężczyźni muszą nam nadskakiwać. Razem z załogą jest was więcej niż 2 razy.

— Sądzę, że nie dla nadskakiwania paniom pojechali...

— Ma pan rację. — P. Natalja umilkła.

— Właściwie nie wiem, poco wyjechałam — zaczęła nagle. To było warjactwo.

Patrzę przez lornetkę na przesuwające się krajobrazy polskiego wybrzeża.

— Trzeba było nie jechać!

— Dowiedziałam się, że pan jedzie.

Zagryzłem wargi. Więc tu tkwi urok Skandynawji.

— Czemu pani mąż nie wybrał się razem z panią?

— Od kilku miesięcy nie żyję z mężem. Pan nic nie wie?

— Nie.

— Mąż rzucił mnie. Ale...

Odjąłem lornetkę od oczu, wzrok na sąsiadkę skierowałem. Skurcz zemsty w twarzy. Wcale interesująca twarz. Ale doprawdy, żal czasu na studjowanie grymasów kobiecych. To nie buduar. Morze za potężnem, za pięknem jest tłem dla intryg miłosnych.

Przyłożyłem lornetkę do oczu.

— Pana, widzę, więcej interesują te piachy i woda, niż ja.

Sytuację uratował ks. proboszcz Michał.

— Nie wiecie, państwo, co to za kościół być może?

— Chrześcijański zapewne.

Ksiądz skrzywił się.

— Pan żartuje. Myślałem, że pan wie, jak się nazywa.

Widziałem, że księdzu szło o zapoznanie się z moją towarzyszką.

— Może państwo poznacie się? — Przedstawiłem p. Natalji proboszcza.

Rozmowa poszła obojgu gładko. Ksiądz zapomniał o nazwach kościołów, p. Natalja o mnie. Znaleźli temat niewyczerpalny: obgadywanie bliźnich na statku.

***

Rozejrzałem się dokoła. Stałem w środku żelaznej, prostokątnej skrzyni, gęsto nabijanej gwoździami. Nie była to trumna. Albowiem mały, okrągły otwór, zwany uroczo iluminatorem, wpuszczał snop światła do wnętrza. Ponad nim gruba rura niby wąż wiła się i wydawała raz po raz syki. Z drugiej strony 2 łóżeczka, cacane, biało lakierowane, ustawione jeden nad drugim, wcale nie po małżeńsku. Umywalka, szafa — i pas ratunkowy. Jedyny obraz na ścianie — przepis jak ratować się w razie rozbicia okrętu. Wszystko czyściutkie, z pietyzmem utrzymane. Wchodzi ktoś. Wciskam się w kąt. Doskonale. Udało się nam pomieścić. Poznaję towarzysza moich kilkunastu najbliższych nocy. Chociaż 2 razy za obszerny jak na pojemność kajuty, ale człek sympatyczny, o łagodnym, dobrym wyrazie twarzy. Inżynier z Warszawy.

— Czy pan nie ulega morskiej chorobie? — pytam na powitanie.

— Nie.

— I ja nie.

Odetchnęliśmy z ulgą. Niemiły tusz z górnego łóżka nie czeka mnie zapewne.

Inżynier zdjął z szafy pas ratunkowy, przymierzył.

— Jak będziemy się ratować, kiedy pas jeden na nas dwóch?

Szukamy drugiego pasa. Nigdzie niema.

— Odstępuję go panu — rzekłem na pocieszenie.

Wyszedłem, ciasno i duszno było. Wspiąłem się na górny pokład. Doleciał nosa miły zapach pieczystego. Otwieram drzwi do sali jadalnej 3 klasy. Widok groźny, niezapmniany. Przeszło 300 gardzieli połykało w pośpiesznym tempie diner. Cokolwiek kelnerzy przyniosą, znika momentalnie. Wyszukałem pośpiesznie miejsce. Coś niecoś jeszcze mi się dostało, ale ponętny drób, serki i owoce zniknęły na dzisiaj bezpowrotnie. Musiałem mieć minę głupią, więc nadrabiałem wesołością. Snać tryskał z ust moich dowcip rzetelny, bo skupił uwagę całego stołu. Spojrzał na mnie życzliwie nawet dr. Antoni — jak się wkrótce okazało — najdowcipniejszy człowiek świata, i ze swej strony jął strzelać humorem. Cieszyło się najedzone bractwo, cieszyłem się i ja, chociaż głodny, ale ceniący w towarzystwie humor rzetelny i uprzejmość. Humor, co z morza nie czyni basenu, napełnionego rozflirtowanemi kokotami, z księżyca błazna bezmyślnie roześmianego, z machiny spracowanej astmatycznego starca, z ułomności ludzi wielkich pośmiewiska. Z wszystkiego śmiać się można do rozpuku śmiać — ale nie wszystko można pospolitować i poniżać. Dr. Antoni był wyjątkiem, co śmiechem nie poniżał ani obrażał.

***

Wieczór zapadł. Zdala pobłyskiwały światła potężnej latarni morskiej w Rozewiu — ostatnie pożegnanie z Polski. Żelazny kadłub „Polonii" pruł ciemno-stalowe wody Bałtyku. Podróżni poznikali gdzieś z pokładu. Tu i owdzie tylko cicho rozmawiały grupki wytrzymalszych na chłód.

Oddałem się flirtowi z Bałtykiem. Dusza za mocna była, by rozpływać się w smutku czy tęsknocie. Nic — poprostu słuchałem miłego pogwaru fal ciemnych, krajanych stalowym mieczem „Polonii". Jak dziecko cieszyłem się ogromem, który przemierzam bez wysiłku, wygodnie leżąc, niby w sypialnym pokoju. A potem nie było już wody, — był bezmiar, potęga ujarzmiona, cud mocy.

Doleciały uszu odgłosy muzyki. Owszem, niech będzie muzyka, światło, gra braw. Podszedłem do okien salonu I klasy. Dancing. Jasno. Wygodne meble, pluszem obite. Musi być ciepło. Panie, pięknie przystrojone, wydekoltowane. Panowie czarno ubrani. Butelki wina, wódek, likierów. Shimmy. Ksiądz, w cywila przebrany (wszyscy księża i oficerowie taksamo) tańczy z p. Natalją. Dr. Antoni rozśmiesza do łez młodziutką pannę Irenę.

Stojąc za oknem jasnego, roztańczonego salonu, czułem się doskonale. Kontrast ponurego morza, nieba niezgłębionego i tego grającego, rozbawionego saloniku przesuwał przed oczami wyobraźni film fantastyczny, w którym jawiła się ziemia nasza z cudowną lampą słońca, lekkomyślna, dziecinna, a pędzona w nieskończoność gwiazd.

Zbliżył się ksiądz Stanisław z 2 żydóweczkami. Usłyszałem, jak na pożegnanie zapewnił:

— Jutro pogoda murowana.

Proroczy głos duchownego zachęcił mnie do udania się na spoczynek.

***

19.VII. Otwieram jedno oko, otwieram drugie. Zaczyna się dzień. Chwała Bogu! — Sen się nie udał. Jakoś duszno było. Ktoś stękał w sąsiedniej kajucie, oddzielonej niewysoką

ścianką drewnianą. Stękał miarowo do północy. Nareszcie monotonność jęków zaczęła usypiać. Wtedy przestał stękać. Znowu nie mogłem zasnąć. Na dobitek gniecie coś w bok. — Jednem słowem marny sen.

KOPENHAGA.
GMACH GIEŁDY. CHARAKTERYSTYCZNY RUCH ROWEROWY.

Wylazłem z łóżka, nabiwszy sobie potężnego guza. Pod zimnym tuszem rzeźkość wróciła. Na pokładzie nie było jeszcze nikogo. Wicher, deszcz, mgła.

— Gdzie jesteśmy? — pytam przechodzącego porucznika marynarki.

— Minęliśmy w nocy Bornholm, Rugję. Na prawo już brzegi Szwecji, na lewo Zelandja. — Wszystko dobrze. Tylko ta psia pogoda. Morze jak mleko, powietrze jak mleko, cała Danja jak mleko. Przeczekałem do 7 godz. Była niedziela. Zapowiedziano na 7 rano odprawienie mszy. Wyszedłem na górny pokład. Msze się właśnie rozpoczynały. Widok trochę wzruszający. Przypomniały się katakumby, skromne ołtarze pierwszych chrześcijan, gdzie najcudowniejsze odprawiano msze. 2 stoliki złączone, pokryte obrusem z jadalni, krucyfiks, kielich, wino, opłatek wycieraczka, dzwonek, księga święta, — ot, wszystko, co umożliwiało odprawienie mszy. Ksiądz staruszek ministrantem.

Pasażerowie spali jeszcze. Prócz kilku księży i prócz mnie nikogo nie było. Wiatr bił o szyby. Stałem w rogu, skąd mogłem równocześnie obserwować obie msze. Księża wydawali mi się w tej chwili dobrymi i pobożnymi ludźmi. Szkoda tylko, że dnia poprzedniego wyraźnie zastrzegli się, że przy mszach asystować mogą jedynie katolicy. — Bóg i to im zapewne przebaczy!...

Po mszy śniadanie. Było wyborne. Owsianka, jajecznica, wędliny, ryby, serki, owoce, kawa, mleko, herbata. Ile kto chciał, jadł. Kochana „Polonia"!

Godz. 9.30. podjeżdżamy do awanportu Kopenhagi. 2 holowniki chwytają znowu za głowę i nogi nasz statek i przeprowadzają przez cały port. Piękny wjazd wyrwał wszystkich pasażerów z kajut na pokład. Mijamy stojący na redzie francuski okręt pasażerski „Cuba"; pasażerowie i załoga kiwają do nas serdecznie chorągiewkami, chusteczkami, czapkami.

Mijamy szereg statków mniejszych i większych, m. in. statek meksykański. Przybliżają się budynki portowe, stare ogromne składy, i całe, duże miasto z mnóstwem wysokich wież o kształtach bardzo oryginalnych. Na horyzoncie las okrętów żaglowych, parowców, olbrzymów floty wojennej. Nic dziwnego. Kopenhaga jest kluczem Bałtyku. Rozparta na wyspie Zelandji i wys. Amager, w najwęższem miejscu cieśniny Zundzkiej, do niedawna jedynej drogi wodnej z Bałtyku, stała się największym portem krajów Skandynawskich. 5 pancerników, 2 krążowniki, 18 torpedowców, 16 łodzi podwodnych i 15 minierek strzeże portu. Z przedmieściami Frederiksberg i Gentofte liczy miasto ok. 800.000 mk. t. j. przeszło 1/5 ludności całej Danji. Przeszło połowa handlu Danji idzie przez Kopenhagę. Ruch okrętowy wykazuje 16.500 parowców, 2.300 żaglowców. Nie tak prędko młoda Gdynia dopędzi starą, 9 wieków istniejącą już jako port stolicę Danji.

Powoli, nieśmiało przybliża „Polonia" żelazny bok do mola w Frihavnen („Wolnym Porcie"). Podstawiają ruchomy, na kółkach wznoszący się mostek. Pierwsi wysiadają harcerze 16 drużyny Warszawskiej, jadący na zjazd skautów do Sztokholmu. Prezentują się doskonale i wzbudzają nawet u powściągliwych Duńczyków wyrazy zachwytu.

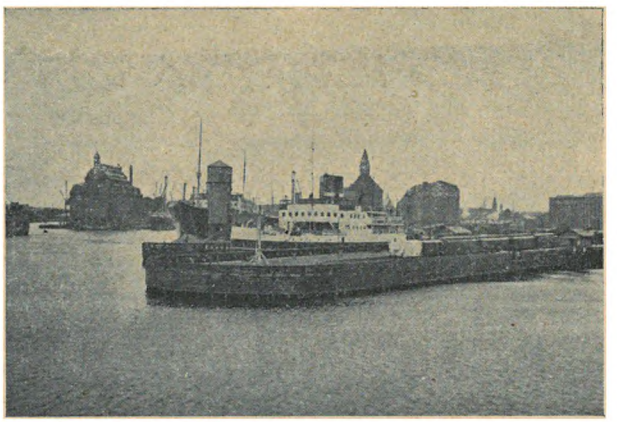

KOPENHAGA. WJAZD DO PORTU.

A potem wylewa się na brzeg tłum pasażerów. Największa grupa kieruje się ku auto-karom Coo'ka. Tym najbardziej współczuję, bo za drogie pieniądze najmniej zwiedzą. Śmieszne ofiary międzynarodowego towarzystwa „kukania" na

świat przez szybki gnających po ważniejszych ulicach samochodów. Reszta towarzystwa podzieliła się na drobne grupy. Ja oczywiście z dr. Antonim, p. Natalją i panną Lilą, której towarzystwo zaczynałem odtąd cenic, poszliśmy oddzielnie.

***

Pusto było na Langelinie, jakby kto ludzi wymiótł. Po pięknych, szerokich ulicach Kopenhagi uwijali się sami — Polacy z „Polonii". Duńczycy, korzystając z niedzielnych wywczasów, wypoczywali w domu lub wyjechali wczesnym rankiem na „świeże powietrze" poza miasto. Nareszcie obok groźnej cytadeli ujrzeliśmy tubylca. Był to żołnierz sławetnej armji duńskiej w spodniach o ½ metra za krótkich, z karabinem przedpotopowego systemu. Warto wspomnieć, że cała armja duńska liczy sobie 7.000 wojowników. I ta liczba wydaje się dla parlamentu tutejszego o wiele za dużą. Daj Boże, aby wszędzie tak sądzono!

Cytadela Frederikshavu (Kastellet), obok której przechodziliśmy, wygląda jak piękny, dziki park. Zarośnięte szuwarami stawy, uroczyska, wyspy, trawą pokryte lub gęstym lasem, tworzą piękny kontrast do wytwornych skwerów i ulic, które je otaczają. Na skwerach widać dbałość o wygodę publiczności: wygodne ławki, ramy na rowery, kosze na śmiecie.

Mijamy pomnik na cześć marynarzy duńskich, poległych w czasie wojny światowej, przechodzimy obok wygodnie i estetycznie urządzonej przystani dla łodzi sportowych i kierujemy kroki w stronę miasta. Zatrzymuje uwagę piękny i ogromny wodotrysk bogini Gefion, dzieło A. Bundgaarda. Doskonały symbol duszy Danji. Zapuszczamy się w labirynt gmachów, pałaców, pomników. Podług planu wyszukujemy, co najciekawsze.

A więc Amalienborg, zamek króla i jego następcy. Naprzeciwko kościół Marmurowy, budowany w ciągu lat 150, z dumną kopułą miedzianą, częściowo złoconą, z pięknemi rzeźbami.

Na Kongens Nytoro uwagę przykuły wielkie, eleganckie wystawy sklepowe. Stąd trafiliśmy na ładny gmach teatru królewskiego w stylu późnego renesansu, skąd podążyliśmy wzdłuż kanału pod gmach giełdy. Oryginalna to budowla w stylu niderlandzkim. Na dachu dźwiga 4 smoki, które wywalają do góry potwornie długie ogony i, plącząc je z sobą, tworzą piękną, wysmukłą, 54 m. wysoką wieżycę; doskonały symbol giełdowego smokowładztwa.

Idąc dalej, spotykamy Christiansborg, wybudowany na miejscu starego zamku. Króluje na nim wieża, 90 m. wysoka, uwieńczona duńską koroną królewską na szczycie. Skupiły się tutaj ważne instytucje: parlament, min. spraw. zagr., sąd najwyższy. Obok znalazły pomieszczenie królewskie pokoje reprezentacyjne. Wnętrze parlamentu skromne, poważne. Nic dla efektu. Dużo miejsca zajmuje bibljoteka.

A teraz największa chluba sztuki duńskiej: Thorwaldsen. Postawiono mu w środku miasta grobowiec najpiękniejszy: muzeum, w którem złożono nie tylko zwłoki mistrza, ale i wszystkie dzieła pracowitego żywota wielkiego rzeźbiarza w oryginałach, odlewach, kopjach. Podziw szczery ogarnia, ile jeden człowiek mógł stworzyć. Znamy dobrze i w Polsce niektóre z jego rzeźb. Zaraz w hali przy głównem wejściu stoją potężne odlewy pomnika ks. Józ. Poniatowskiego i Mik. Kopernika, których oryginały znamy dobrze z Warszawy.

Twórczość Thorwaldsena nic nie mówi o duszy Danji. Chociaż urodzony w Kopenhadze, (przodkowie pochodzili z Islandji), przejął się duchem klasycznym i w Rzymie dzieła swe tworzył. Muzeum Thorwaldsena przypomina raczej zbiory w Neapolu lub w Rzymie. Powaga, dostojność, spokój, równowaga. Przechadzając się wśród rzeźb, odnosi się wrażenie wspaniałego cmentarza, nad którym unosi się niczem nieskłócony majestat wieczności. Wrażenie to potęguje się, gdy stajemy na środku dziedzińca przy szczątkach cielesnych mistrza. Niemniej w sali najcudniejszej, pełnej natchnionej nieśmiertelności, w której panuje Chrystus z 12 apostołami. Jakże słusznym byłby napis na gmachu muzeum:

„Krwi kipiącej, odbicia namiętności ludzkich nie szukaj tu, przybyszu!".

(*C. d. n.*)

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Ze Zboru w Warszawie.

W dniu 20.X. b. r. odbyło się Ogólne kwartalne Zgromadzenie Członków Zboru naszego, na którem dokonano wyborów Prezesa, Wice-Prezesa i 3-ch członków Kolegjum Kościelnego.

Wybrani zostali WWPP. Emil Swida — na Prezesa, Ludwik Brinckenhoff — na Wice-Prezesa, pp. Zofja Lorecowa, Wacław Kalinowski i Stanisław Diehl na członków Kolegjum — wszyscy ponownie.

Wysłuchano sprawozdania o postępie robót przy instalacji centralnego ogrzewania kościoła, przyczem potwierdzono uchwałę Kolegjum Kościelnego, zwrócenia się do członków Zboru z pro-

śbą o ofiary i prywatne pożyczki na pokrycie kosztów instalacji ogrzewania.

Wreszcie przyjęto i zatwierdzono szereg sprawozdań ogólnych i kasowych za ubiegłe 3 kwartały roku bieżącego.

***

Ze Zboru w Łodzi.

W dniu 25.X. b. r. przybył do Łodzi Ks. Superintendent Skierski, aby z polecenia Konsystorza przewodniczyć Ogólnemu Zgromadzeniu Członków Zboru, na którem dokonane być miały wybory stałego duszpasterza Zboru Łódzkiego. W przeddzień, w godzinach wieczornych, przybyłego powitało Kolegjum Kościelne Zboru Łódzkiego, w imieniu którego Prezes Kolegjum, W. Pan Józef Hajek przemówił do Ks. Skierskiego, witając go jako Superintendenta Kościoła, w tym charakterze poraz pierwszy przybywającego do Zboru w Łodzi.

Po odbytej wspólnie sesji przedwyborczej zebrani przeszli do sali zborowej, gdzie już uprzednio zgromadzili się członkowie Zrzeszenia Młodzieży, chóru kościelnego i Koła Pań przy Zborze, w celu uroczystego powitania przybyłego Ks. Superintendenta. W imieniu Stowarzyszenia Młodzieży i oddzielnych jego kół przemówili do gościa P. W. Ksiądz Ludwik Zaunar, Administrator Zboru i p. Emil Zaunar, a w imieniu Koła Pan— pani Natalja Szrajberowa. Wszystkie przemówienia nacechowane były wielką serdecznością i były wyrazem zaufania do osoby Ks. Superintendenta.

Za serdeczne powitanie i wyrazy zaufania Ks. Skierski również serdecznie mówcom podziękował. W czasie uroczystości powitalnej obecny był w sali i pan Generał Dywizji Leonard Skierski, brat Ks. Sup. Skierskiego, przybyły wraz z nim ze Zgierza z pogrzebu ś. p. Ks. Profesora Seriniego. Do niego również zwrócił się Ks. Zaunar z przemówienie powitalnem, podkreślając jego żywe zainteresowanie się religją i sprawami kościelnemi, na co Pan Generał odpowiedział, dziękując Księdzu Pasterzowi i Zborowi za życzliwość i życząc im błogosławieństwa Bożego i pomyślnej przyszłości.

Nazajutrz, w Niedzielę dn. 25.X. b. r. o godzinie 10 rano witały przybyłego Ks. Superintendenta dzieci ze Szkółki Niedzielnej, a o g. 10½ rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, po skończeniu którego odbyło się Zgromadzenie członków Zboru, na które przybyło 125 osób prawo głosowania mających. Po czynnościach wstępnych przystąpiono do wyboru stałego duszpasterza Zboru. Ponieważ na to stanowisko zgłosił się jeden tylko kandydat w osobie dotychczasowego Administratora Zboru — Ks. Ludwika Zaunara, głosowano kartkami z napisem „tak" i „nie". Przytłaczającą większością głosów wybrany został Ks. L. Zaunar na proboszcza Parafji ewangelicko-reformowanej w Łodzi. Elektowi życzymy na tem stanowisku błogosławieństwa Bożego, światła i mądrości Ducha Ś-go w pracy na chwałę Bożą i pożytek Kościoła. Po przeprowadzeniu wyboru stałego duszpasterza przystąpiono do wyborów członków „Komisji rewizyjnej", powołując na ten urząd panów: 1) Inżyniera Wiktora Janiszewskiego, 2) Karola Howorkę i 3) Pawła Hajka, a na zastępców — pp. Dyrektora Wacława Davisona i Karola Matysa. Po załatwieniu kilku jeszcze punktów porządku dziennego, wewnętrznych spraw Zboru dotyczących, Ks. Superintendent zamknął posiedzenie, dziękując członkom Zboru za liczne przybycie i polecając, sercom, miłości i poparciu ich duszpasterza, przez nich obranego.

***

Pogrzeb ś. p. ks. profesora Karola Seriniego.

Wyprowadzenie zwłok zmarłego w dniu 21.X. ś. p. Ks. Profesora Seriniego z domu żałoby przy ulicy Nowy Zjazd Nr. 5 do Kościoła przy ulicy Królewskiej nastąpiło dnia 22.X. o godzinie 5½ po południu. Przy trumnie przemówił i modły odprawił Ks. Radca A. Loth, poczem trumnę wyniesiono na katafalk i pokryto ją mnóstwem wieńców. Trumnę poprzedzało kilkunastu duchownych z NPW. Księdzem Biskupem Dr. Bursche na czele. Nazajutrz uroczystości pogrzebowe w Kościele rozpoczęły się o godzinie 2 po poł., w obecności 24 księży Pasterzy, profesorów wydziału teologji ewangelickiej, Senatu Akademickiego, przedstawicieli władz i społeczeństwa. Kościół był przepełniony. Wygłoszone zostały dwie mowy pogrzebowe. Pierwszy przemawiał Ks. Biskup Dr. Bursche na tekst z psalmu 130, a po nim przemawiał przyjaciel Zmarłego — Dyrektor Gimnazjum im. Mikołaja Reja—Ks. A. Rondthaler na tekst: I Samuela 1[26]. Trumnę z Kościoła na karawan wynieśli księża. Kondukt, poprzedzany orkiestrą Gimnazjum im. M. Reja, ruszył na dziedziniec uniwresytecki, gdzie z balkonu żegnał Zmarłego I. M. Rektor Uniwersytetu profesor Łukasiewicz, i Dziekan Wydziału teologicznego — Ks. Prof. Szeruda. Tak się zakończyła uroczystość pogrzebowa w Warszawie. Trumnę ze zwłokami wstawiono do samochodowej karetki pogrzebowej i przewieziono ją do Zgierza, gdzie ciało Zmarłego miało być nazajutrz złożone do grobu rodzinnego na miejscowym cmentarzu ewangelickim. W sobotę, dn. 24.X. o godzinie 2 po poł. kościół ewangelicki w Zgierzu wypełniły po brzegi ogromne rzesze ludu, żegnając w żałobie i ze łzami swego dawnego duszpasterza. Przybyli też przedstawiciele władz rządowych i miejskich i reprezentanci wielu organizacyj społecznych, uczniowie i uczenice szkół średnich w Zgierzu, wreszcie ochotnicza straż ogniowa z orkiestrą, chóry śpiewacze z Łodzi i Zgierza. Duchownych — kolegów i uczniów Zmarłe-

go przybyło 24. W kościele przemawiali: miejscowy proboszcz Ks. Falzman po niemiecku na tekst I Kor. 13_{13} i przyjaciel Zmarłego Ks. L. Schmidt z Konstantynowa po polsku na tekst Rzym. 11 — 36. Po końcowych modłach długi orszak żałobny wyruszył na cmentarz, gdzie w języku niemieckim żegnał Zmarłego Ks. Radca J. Dietrich z Łodzi, przemawiając na tekst Ewang. Mateusza 28_{20}, a „ostatnie słowo" pożegnania nad rozwartą mogiłą przyjaciela wygłosił na wyraźne żądanie Zmarłego Ks. Skierski — na tekst psalm $73_{23,24}$.

Był już zmierzch, gdyśmy opuszczali cmentarz i ten cichy grób na nim, umajony kwieciem, w którym spoczął ten tak bardzo zasłużony dla Kościoła, a tak przedwcześnie zmarły mąż i sługa Boży. Opuszczaliśmy to przesmutne miejsce w bolesnej świadomości, że nam nikt i nic straty tej nie zastąpi i że rana serca jątrzyć się będzie wiecznie. S.

OFIARY.

Na wydawnictwo „Jednoty".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

W-ny p. Andrzej Hebda — Warszawa . . . . Zł. 4.00

Serdeczne dzięki!

OGŁOSZENIE. Panienki, pragnące nauczyć się języka francuskiego i muzyki, znajdą pomieszczenie i troskliwą opiekę w inteligentnym domu ewangelickim w Południowej Francji. Warunki wyjątkowo przystępne. Wiadomości udziela: **Profesorowa Flatauowa, Poznań, ul. Matejki 46.**

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc listopad 1931 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 1.XI. (XXII N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. J. Jelen.
2. Niedziela, dn. 8.XI. (XXIII N. po Trójcy Śtej) . . . . . — Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dn. 15.XI. (XXIV N. po Trójcy Ś-tej) . . . . . — Ks. J. Jelen.
4. Niedziela, dn. 22.XI. (XXV N. po Trójcy Ś-tej ostatnia w R. K.) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem. . . . . — Ks. St. Skierski.
5. Sobota, dn. 28.XI. nabożeństwo komunijne wieczorne o godz. 7 w. . . . . — Ks. St. Skierski.
6. Niedziela, dn. 29.XI. (I N. Adwentu). . . . . — Ks. płk. K. Szefer.

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANY
Adres Administracji: LESZNO 20.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 4. 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Główna Drukarnia Wojskowa Warszawa, Przejazd 10.

WYSZEDŁ W DRUKU I JEST DO NABYCIA

NOWY POLSKI ŚPIEWNIK KOŚCIELNY

P. T.

ZBIÓR PIEŚNI DUCHOWNYCH I PSALMÓW

DO PUBLICZNEGO I PRYWATNEGO NABOŻEŃSTWA DLA WYZNAWCÓW EWANGELICKO-REFORMOWANYCH PRZEZNACZONY

ŚPIEWNIK WYDANY JEST WRAZ Z NUTAMI NA CIENKIM PAPIERZE BIBLIJNYM

CENA ZA EGZEMPLARZ BEZ OPRAWY — ZŁ. 12,
W OPRAWIE PŁÓCIENNEJ Z SKÓRZANYM GRZBIETEM — ZŁ. 15

DO NABYCIA W KANCELARJI PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ W WARSZAWIE, ULICA LESZNO 20 I W KSIĘGARNI M. ARCTA W WARSZAWIE.